

Ewa Dałkowska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0639**

Data urodzenia: **10.10.1947 r.**

Data nagrania: **25.07.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Jesówka, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 38 min, część II: 57 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Dziesiątki, setki tych przedstawień były. No i właściwie tylko jedna wpadka. Co robiliście, żeby do tego nie doszło właśnie? Jakie były tutaj sposoby kamuflowania się?

Ewa Dałkowska: Znaczy zawsze to były imieniny czy urodziny. Zawsze trzeba było przygotować jakieś potrawy. I nawet potem, jak pojechaliśmy do Francji z tym, to Francuzi byli bardzo zadowoleni, że muszą potrawy przygotowywać, bo nie bardzo wiedzieli, co to znaczy Teatr Domowy. Andrzej Piszczatowski im wszystko tłumaczył i robili potrawy, i zjadali. Bardzo byli zadowoleni z tych przedstawień, zachwyceni naszym aktorstwem ci Francuzi, więc sobie pomyślałam, że mają trochę słaby teatr, skoro naszym aktorstwem się mogli zachwycać. Nieważne. W każdym razie potrawa. Imieniny, 100 lat, 100 lat należy śpiewać, zamiast bić brawa. Nie spóźniać się za chińskiego boga. Ma przychodzić człowiek sprawdzony. Znamy takiego faceta, znamy tego człowieka. Oczywiście działacze spóźniali się jak cholera, jak dzwonili, to po tym wszystkim po grzbiecie szedł szron, ale spóźniali się niekiedy. Teraz mieli sobie usiąść i sobie na to patrzeć. Co tam jeszcze było. Piłem, cały czas piłem, stałem tyłem i tak dalej, opowiadali moi koledzy, czym się zajmowali, że żadnych, nie wolno było się przyznać do jakichkolwiek działalności. Wobec powyższego opowiadali różne bzdury, nawet Maria Dłużewska to o tym pisała, znaczy film robiła.

Artur Kłus: Nie zostało za dużo dokumentacji, bo nie można było robić zdjęć.

Ewa Dałkowska: Dokumentacja? W krzaki! Nic, nie mogliśmy mieć egzemplarza. Nie mogliśmy jechać z egzemplarzem. A egzemplarze niektóre to ja mam ołówkiem pisane albo robione na takiej starej mojego tatusia maszynie,

te teksty przepisywane, rzeczywiście. Ale to trzeba było wszystko ukrywać gdzieś tam u kogoś w piecu i tak dalej. Jeżeli groziły jakieś oględziny, to trzeba było to chować u znajomych. No tak. Żeby nie było dowodów.

Artur Kłus: Gdzieś tam w jakimś piekarniku, w sejfie?

Ewa Dałkowska: Tak, tak. Takie różne. Trzeba było chować, trzeba było, wyjeżdżając z domu, patrzeć, czy nikt nie rusza za nami. A myśmy mieli podejrzany bardzo samochodek do pierwszego przedstawienia, bo to był mały, Maluch, ale jeszcze w środku mieścił się, nie wiem, jak się mieścił, taboret z Teatru Powszechnego, z wszystkich spektakli zarezerwowanych, przy którym graliśmy. Rozgrywaliśmy potem, pod lampą się stawiało ten taboret i się rozgrywało rozmaite sceny. I z takim taborem żeśmy podróżowali, czasem razem z wyjeżdżającymi gliniarzami. [śmiech] Czasem się mijaliśmy, mieliśmy dużą frajdę. Mieliśmy też taką przygodę, że gdzieś nas zaprosili, nie wiem, sadownicy czy co, już nie powiem o ich zawodzie, pod Warszawą, pilnowali nas, prowadzili i tak dalej. I zaprosili nas, bardzo pilnowali naszego przejazdu. I nagle się okazało, że tam, gdzie mamy grać, to oni zrobili scenę. I normalnie mamy grać na scenie. Przecież myśmy nie grali na scenie, tylko pod lampą. I to zupełnie wtedy wymaga innego przygotowania. Bardzo się zdenerwowaliśmy, ale na scenie jeszcze było tło. I to był obraz Jaruzelskiego, Dama z łasiczką. Jaruzelski z taką łasiczką. Ten obraz ktoś narysował ze złości. My potem z nim jeździliśmy po całej Francji. Bardzo lubiliśmy ten obraz, Dama z łasiczką. I teraz, jak zobaczyliśmy tę Damę z łasiczką, to żeśmy się okropnie spieszyli, że taki piękny, kolorowy obraz, taki wredny jeszcze do tego, odwiedzie nam publiczność.

Artur Kłus: Bo na nim był Jaruzelski z łasiczką.

Ewa Dałkowska: No tak właśnie. Tak. I że przestaną nas słuchać. A to tylko na skojarzeniach można było słuchać delikatnie. Ale wtedy Emilian Kamiński, nasz dzielny kolega, wspaniały, fenomenalny, wyszedł, spojrzał w twarz temu generałowi Jaruzelskiemu i powiedział tak: „Przebrzydła szumowino, pacholku moskiewski, ty farbowana świnió, marszałku kurewski, ty gnoju zarzygany, zatęchła sklerozo, gnido zarzygana, zdrajco ZOMO-zo” i tak dalej, i tak dalej. Zakończył pięknie: „Za naród sprzedany piekło cię pochłonie”. I publiczność już zwróciła na nas uwagę. Nie mieliśmy z nimi kłopotów. Ten „bluzg” zresztą był problemem Emiliana, to mój mąż tam znalazł ten „bluzg” w jakichś samizdatkach i mu to dał. Uwielbiał to Emilian, ale myślał, że za dużo brzydkich wyrazów tam jest i że jak to przy kobietach tak mówić. I kiedyś zwierzył się księdzu Jerzemu Popiełuszcze, z którym przebywał w bliskich stosunkach i my też. I ksiądz Jerzy powiedział, żeby się nie martwić, ponieważ takie świństwa się robi po drugiej stronie, że można taki bluzg mówić. I Emilian od tej pory mówił wszędzie i zawsze ten „bluzg”. W ogóle jest dosyć do dzisiaj sławny zresztą, aż dziw się bierze, że taki tekścik powstał, prawda?

Artur Kłus: A jeszcze jakieś takie miejsca, gdzie występowaliście?

Ewa Dałkowska: Występowaliśmy na przykład w Kazimierzu, w naszym świętym miejscu. Kazimierz to jest miejsce naszego ślubu z mężem. I on całe dzieciństwo tam spędził. I z tymi wszystkimi malarzami, których tu widzicie na scenie, Kazimierz. I nagle zaprosił nas, Matko Boska. O Boże, oświeć z telewizji. Sulkiewicz, Michał Sulkiewicz. Michał Sulkiewicz, który miał w Kazimierzu dom. I miał coś takiego, takie miejsce, które było jak teatr antyczny. To znaczy

można było siedzieć na kamieniach i patrzeć na to, co się tam dzieje. I tam nas zaprosił z Teatrem Domowym, żebyśmy w teatrze antycznym, na świeżym powietrzu, wśród kamieni, w kamieniołomie, o, zagrali. Bardzo pilnowaliśmy, bo to nieznany nam teren, jeśli chodzi o ludzkie przyzwyczajenia i czego chcą ludzie. Do kamieniołomu nad Wisłą szedł szereg ludzi ciurkiem, straszna ilość, a mój mąż tam pilnował w dresówce, żeby wszystko było w porządku, ale mówi: „Nie mam po co pilnować, ponieważ idzie to tak po tych wąwozach, przebrzydła szumowino, marszałku kurew*ki, kurew*ki, kurew*ki” i tak dalej. [śmiej] „Ja się wroną pierdol*q nie przejmuję”, druga taka była piose-neczka wesół. To idzie, idzie, tak że jakby ktoś się chciał dowiedzieć, toby już się dowiedział. Ale nie było wpadki. Przyszli ludzie, zagraliśmy. Potem zagraliśmy jeszcze na rynku i szybko daliśmy dyla, bo ten malarz na rynku nie był taki za bezpieczny, nam się wydawało. Bardzo byliśmy ostrożni, daliśmy dyla i odeszliśmy z Emilianem Kamińskim z Teatru Domowego, ponieważ wydało nam się już to nie tak potrzebne jak wtedy na początku. Natomiast ta cała reszta naszych wspaniałych przyjaciół, powiększona o Kazia Wysotę, o Henia Machalicę, Marię Dłużewską i innych tam. Zygmunta Sierakowskiego.

Artur Kłus: Włodzimierz Nahorny, tak, był tam?

Ewa Dałkowska: Nie, nie, nie. Włodzimierz toby grać musiał. Nie, nie. Może nie zauważyłam. W każdym razie nagle zobaczyli, że można wystawiać sztuki czeskie. Bo u nas nie było takich utworów, które warto byłoby wystawiać. A tu Kochołta sztuka i druga Havla. Okazało się, że są dwie sztuki, że możemy je sami sobie kupić, albowiem zawsze był kapelusz, do którego widzowie wrzucali, żeby się nie czuli zażenowani, że nie płacą. Więc mieliśmy kasę i mogliśmy wykupić przekład Jagodzińskiego tego Kochołta i Havla. I to zrobił Maciek Szary. Oba te przedstawienia wyreżyserował, zaproponował. Ponieważ nikt z zawodu aktorskiego nie chciał tego robić. Każdy nie miał czasu, właśnie opuszczał zawód. To moje największe zdumienie było, że coś, co tak przepiękne nam się wydawało, piękną przygodą, to mówię, budzi jakiś czyjś strach czy opór. A ludzie się wykręcali, nie chcieli. O, no nie, nie podoba mi się to. Takie tam różne, wszystko, co można powiedzieć. Tak że wobec powyższego tylko aktorzy od Hübnera szli śmiało na bój. Nawet tam na jednym takim Kochołta przedstawieniu usłyszał nasz przyjaciel Andrzej Piszczatowski jeszcze za kulisami, bo za chwilę miał wejść, znaczy w innym pokoju, drugim, „To nie teatr, to Służba Bezpieczeństwa”, czy tam jakiś inny tekst. Dzwonek do drzwi i „Proszę się rozejść, to zebranie jest nielegalne”. Publiczność się uśmieła i czekała dalej, co dalej w sztuce. Z trudem tam Piszczatowski wytłumaczył, że to są gliniarze.

Artur Kłus: Prawdziwi.

Ewa Dałkowska: Prawdziwi, którzy zaczęli ich wszystkich pakować do pudeł. Było ich strasznie dużo, ogromne mieszkanie na Sępolnie.

Artur Kłus: We Wrocławiu?

Ewa Dałkowska: Tak. Moi rodzice na przykład drugie przedstawienie, gdzie miał być Frasiński i ktoś tam, odwodzili moi rodzice ludzi, obcy ludzie obcych ludzi, wydawało im się, że idą na drugie przedstawienie, po to, żeby ich ostrzec. Tę publiczność zabrali. Ta publiczność cały czas tylko prosiła, żeby im opowiedzieć, co było dalej. A aktorzy

udawali, że prawda, nie ma, Piszczat zjadł cały kalendarzyk z adresami. Cały czas żeśmy trzymali tę twarz, że myśmy...

Artur Kłus: Na imieninach byli.

Ewa Dałkowska: No pewnie, że tak. I zjedli coś niestrawnego. W każdym razie publiczność chciała bardzo, żeby im to wszystko opowiedzieć. Piszczatowski stwierdził, że zjeść kalendarzyka się nie da. Trzeba go jednak do toalety wyrzucić, tam pogryźć, na kawałki rozłaczyć, bo tam były adresy. To była nasza właśnie ostrożność.

Artur Kłus: A tata jako prawnik się angażował później w to, żeby pomóc tej młodzieży czy tym widzom?

Ewa Dałkowska: Nie, nie, oni ich wypuścili następnego dnia, ponieważ następnego dnia był festiwal i chyba chcieli tych aktorów wypuścić na festiwal. Mieli zagrać tam „Kartotekę” Różewicza i zagrali. Tata się tylko angażował na przykład, jak tam ktoś zostawił dowód osobisty na komendzie, no to właśnie tam postarał się to zebrać, ale nie, nie było tam powodu, żeby się angażować.

Artur Kłus: Właśnie, ale tak czuliście się, Was była na początku czwórka, głównie to jest właśnie Teatr Powszechny, który przejął tę inicjatywę.

Ewa Dałkowska: I Emilian.

Artur Kłus: Plus Emilian. A środowisko aktorskie jak do tego podeszło, do tej inicjatywy?

Ewa Dałkowska: Bali się pójść na przedstawienie. To, co mówię, jest przykre i złe. Ale po pierwsze nie chcieli grać w tym, po drugie bali się właśnie pójść na przedstawienie, żeby im coś się nie stało. To największe moje rozczarowanie właściwie co do środowiska. Chociaż potem przecież oni zaczęli bojkot, my zaczęliśmy bojkot. I był wspaniały ten bojkot, naprawdę rzeczywiście, niedużo było.

Artur Kłus: Bojkot po wprowadzeniu stanu wojennego?

Ewa Dałkowska: Tak, bojkot telewizji i tak dalej. Ja nawet byłam w takim Komitecie, w którym był Szczepkowski, Łapicki, Młynarski. Mieliśmy pilnować tych, co łamistrajką są i tak dalej, żeby oni otrzymywali odpowiednie instrukcje, jak się zachowywać, kto tam zdradza i co zrobić z młodymi, którzy nie mogą grać w filmach, w telewizji. Strasznie przegrali młodzi, biedni ludzie, tak że mieli ci ludzie jakieś zapomogi, można powiedzieć, żeby w jakiś sposób to przetrwać. I w takim gronie ja byłam, ale jak temu gronu ja powiedziałam, że zapraszam na przedstawienie, to grono zrobiło takie przerażone oczy, że ja to robię. Zobaczyłam przerażone oczy, że ja się tym zajmuję. I chciał mi chyba powiedzieć, że bym tego nie robiła. I nie przyszli. To znaczy profesor Korzeniewski przyszedł, ale tam Szczepkowski i tak dalej to nie. Jakiś przestach, to jest jak bajka ta cała historyjka taka harcerska nasza.

Artur Kłus: No ale Wy się, Pani na przykład, bała się tego, że właśnie będą konsekwencje, że będzie, nie wiem, kipsisz, przesłuchanie, ubecja.

Ewa Dałkowska: Ale skąd. Staraliśmy się nie doprowadzić do tego i udało się. I w ogóle ta jedyna wpadka, tak samo się bardzo dobrze zachowali, bo powiedzieli, że nie wiem, nie, ja tyłem siedziałem i tak dalej. Byli świetnie wyuczeni przez mecenasa Olszewskiego, mecenas Olszewski był nam polecony. Nauczył nas, bo przecież myśmy nie mieli świadomości, jak postępować z takimi, za przeproszeniem, fachowcami. A on powiedział w ogóle, jak zachowywać się, jak trzymać to, że tego nie było, prawda, i tak dalej. Ale nie posadzono nas, więc nic się takiego nie stało.

Artur Kłus: Miała Pani jakieś takie nieprzyjemności? Czy ktoś, tak powiem, śledził, gonił w związku z tym?

Ewa Dałkowska: Nie, kiedyś mnie tam zaprosili na ten... Do pierdła, ale nie pamiętam gdzie. I tam coś miałam zeznawać. Nie, nie, już sobie tego nie przypomnę. Raz na zeznania poszłam. Raz i nie przypomnę sobie w tej chwili, czego dotyczyły i jak się z tego wykręciłam. Ale to poważne przesłuchanie było. Tylko czego, to nie pamiętam w tej chwili. A tak to nie miałam przykrości żadnych.

Artur Kłus: A wspomniała Pani też już dzisiaj o znajomości z księdzem Jerzym Popiełuszką. Czy może Pani troszkę opowiedzieć właśnie, jak wspomina Pani?

Ewa Dałkowska: Pierwsza wiadomość o księdzu Jerzym Popiełuszko to było, jak jechaliśmy do Emiliana grać w Józefowie. Mój mąż miał księdza Jerzego, nie znając go, miał poczekać na niego, żeby zawieźć go do Emiliana, do domu. No i nie przyjechał ksiądz Jerzy. Okazało się, że tak za nim już jeżdżą, tak go śledzą, że ściągnąłby nam kłopoty. Po czym spotkaliśmy księdza Jerzego u Marii Anto w mieszkaniu, bo wspaniale plastycy się zachowywali na Żoliborzu. Takie dawali, właśnie robili wieczory z naszym teatrem. U Marii Anto. I proszę bardzo. No i podszedł do mnie ksiądz Jerzy i wręczył mi krzyżyk, który jest niekompletny. Krzyżyk, który jest niekompletny, bo tu jeszcze była „Solidarność” plastikowa, ale spadła. To jest nasza największa relikwia, tak. Zabieramy ją w podróże i tak dalej. Po czym ksiądz Jerzy zaprosił nas do siebie do parafii, albowiem troszeczkę się z Emilianem przyjaźnił. Emilian miał nawet ołtarzyk taki księdza Jerzego. Ja widziałam go teraz po śmierci Emiliana, jeszcze był ten ołtarzyk. Zaprosił nas, żeby posłuchać naszych rzeczy. Na przykład Piotrek Szczepanik napisał taką piosenkę surową. I chciał się pochwalić księdzu Jerzemu. Też był Piotrek Szczepanik, bo przychodził do niego co miesiąc na mszę. No i byliśmy. I ksiądz Jerzy w pewnym momencie włączył radio, żeby zagłuszało. „Ja się wroną pierdo* ną nie przejmuję”. Puścił Piotrek Szczepanik swoje dzieło kompozytorskie, trzeba będzie wykadzić parafię, powiedział, czy wykadzić radio, już nie wiem, co powiedział ksiądz Jerzy. A potem zaproponował nam, że Huta Warszawa, żebyśmy pojechali do Huty Warszawy zagrać, i myśmy odmówili. Dlatego graliśmy w domach i to miało być takie okonturowane wrażenie, żeby się nie narażać na jakieś, żeby mieć pod kontrolą jednak pewne środki bezpieczeństwa. I ksiądz Jerzy nas zrozumiał, że nie. Potem tam sobie porozsiewali, to przecież mogli się w jakiś sposób ci tam... No w każdym razie troszeczkę był speszony, że czemu my nie chcemy, no ale wspaniały, wspaniały zupełnie.

Artur Kłus: Kończąc jeszcze kwestię tego Teatru Domowego, bo Pani mówi, że w pewnym momencie zostawiliście dla, powiedzmy, innych tę inicjatywę, ale ona przetrwała właściwie do końca komunizmu, bo do 1989 roku cały czas...

Ewa Dałkowska: To nie wiem.

Artur Kłus: Spektakle się podobno odbywały.

Ewa Dałkowska: Nie wiem.

Artur Kłus: Mam zanotowane, że pokaz „Degrengolady”...

Ewa Dałkowska: A, to u nas.

Artur Kłus: Do listopada 1989 i jeszcze to było później kontynuowane.

Ewa Dałkowska: To w teatrze, ale to już nie taka działalność, jakby to powiedzieć, społeczna. Byliśmy też w Opolu z Teatrem Domowym, to jeszcze my wszyscy byliśmy. Pierwszy prawnie dozwolony, bo cenzura się skończyła, pokaz. To nas tam Pietrzak chyba zaprosił lub nie pamiętam kto. To w Opolu pierwszy raz oficjalny występ.

Artur Kłus: Legalny?

Ewa Dałkowska: Legalny, tak, tak, tak. Natomiast to do ,89 aż tak nie trwało chyba, te dwa przedstawienia, które zrobił Maciek Szary. Nie wiem, do kiedy to trwało. To akurat nie wiem. Ale w każdym razie, no.

Artur Kłus: Pani Ewo, jeszcze jakbyśmy mogli się chwilę cofnąć do właściwie chyba 1981 roku, jakby Pani opowiedziała o swojej znajomości właśnie z Janem Pietrzakiem i kabaretem Egidą. Jak to środowisko Pani wspomina, Jana Pietrzaka?

Ewa Dałkowska: No Jan Pietrzak prowadził Egidę, jak wiadomo. Moją koleżankę i mnie, Joannę Żółkowską z Teatru Powszechnego, zaprosił, dwie aktorki, do Egidy, żebyśmy tam. Miał zwyczaj zawsze zapraszać różnych, w ten sam sposób zaprosił Kaczmarek, kiedy był jeszcze młodym gówniarzem, Gintrowskiego, Łapińskiego i tak dalej, przez to było fenomenalne. Kaczmarek nie wierzył, że jesteśmy wolni. Mówił, że gadamy z odciętymi głowami. Kłóciłam się z nim bardzo, to było u Pietrzaka. Natomiast on nas zaprosił. Ja się nie nadawałam do żadnych skeczów, tylko do ewentualnie piosenek. Joasia tak. Joasia skecze mówiła i tak dalej. To jest najtrudniejsza dziedzina sztuki. Kabaret, estrada, kabaret. No i tam zaczęłam śpiewać, tak mi się trzęsły nogi, że musiałam zdjąć szpilki i występować bez szpilek, bo po prostu taki strach mnie ogarniał tam zawsze. Teraz już tego nie mam. Troszeczkę żeśmy pośpiewali i tak dalej, poznaliśmy wspaniałych zupełnie, Gajosa, Frączewskiego. To takie osoby występowały u Pietrzaka, jak się z tego nie cieszyć, aż przyszedł stan wojenny. Prawda? Byliśmy, zresztą o mały włos bym została już i nie wróciła na stan wo-

jenny, mianowicie pojechaliśmy do Ameryki z Jankiem Pietrzakiem i do Kanady chyba, jeśli się nie mylę, z występami. Wspaniale zresztą Egida była przyjmowana wtedy i zaczął nadchodzić stan wojenny. I zaczęto już mówić o stanie wojennym w telewizji amerykańskiej. Ja się tak bałam strasznie, że nie wrócę. Nie wiedziałam, co zrobić, bo chciałam strasznie wrócić oczywiście. Janek nie wrócił, bo miał dzieci w Kanadzie. A mi się udało jakoś przedostać. Po czym jak wrócił, a ja zaprosiłam go akurat następnego dnia na premierę Teatru Domowego, to się tak strasznie ucieszył, że już tyle się dzieje. Jego nie ma, a to już tyle się dzieje. I dał nam od razu dużo tekstów. Mi dał „Nadzieję” na przykład, taką piosenkę. Jest moją własnością, ale i tak inne baby śpiewają. I potem jak zobaczył tę Egidę na premierze, i potem występował z nami. A to tak wyglądało. „Proszę to wszystko zdjąć”. Te jakieś ozdoby czy stołek, dekorację naszą. Zmieniał światło. Brał gitarę i to był tak jakby grywka. Po prostu. Nie brał udziału w naszym przedstawieniu, bo to nie dałoby rady, tylko grał swoje. Tak że to było strasznie fajne, że on właśnie nam towarzyszył. No i tak.

Artur Kłus: Jest historia, że z Danutą Rinn podczas chyba spotkania gdzieś na Wybrzeżu, był zaproszony Lech Wałęsa na to spotkanie z kabaretem, Pani pamięta takie zdarzenie gdzieś tam?

Ewa Dałkowska: Jeszcze musi Pan trochę powiedzieć, to zaraz sobie przypomnę. Na Wybrzeżu...

Artur Kłus: To ja zacytuję. „Lecha Wałęsa zaprosiliśmy z Danusią Rinn na występ Egidy w Sopocie. Było dla nas to wielkie święto. Pietrzak oszalał, kiedy go ze sceny zobaczył, ale to był inny Wałęsa”.

Ewa Dałkowska: Potem poszliśmy do niego, nie, wcześniej, żeby zaprosić. Zdobyliśmy, wszyscy wiedzieli, gdzie mieszka Wałęsa. Myśmy tam poszły bardzo przejęte. Przedziwnie, ten mały Wałęsa, co jest teraz duży Wałęsa, to był taki na rączkach Wałęsowej. Były takie rozmaite opowiadki. Wrażenie dość silne, ale nic już nie umiem powiedzieć. To było niezwykle zupełnie u nich tam posiedzenie. Nie, nic nie spuentuję, bo bardzo rzeczy niezwykle się działy, ale nic nie pamiętam w tej chwili. Już jestem wytrzebiona. No bo to nawet bardzo dobre, może za chwilę sobie puentę do tego przypomnę.

Artur Kłus: Właściwie tym kabaretem, z Egidą Pani już jest związana do dzisiaj.

Ewa Dałkowska: Ale nie gram tam. Co pewien czas biorę udział w jakichś uroczystościach, przyjaźnimy się, ale grają tam młodzi ludzie. On miał zawsze taką chętkę i ciągle brał rozmaitych, a to Klawego. To wspaniałe było. A teraz z tych młodych ludzi ja nie widzę tam nic takiego, nawet zresztą nie oglądam. Janek Pietrzak jest po prostu ewenementem takim, że nigdy nie ma dla niego miejsca. To jest po prostu niesamowite. Ja grałam, na przykład naprzeciwko Teatru Nowego jest taka knajpa Mozaika. Graliśmy tam przez pewien czas, było bardzo przyjemnie, aż wreszcie przyjechał jakiś tam facet, kupił knajpę i nas... I tam już przestaliśmy grać. Ja się urywałam z teatru, żeby zaśpiewać u Janka. W kostiumie. On mówił: „Jak ładnie jesteś ubrana”. Takie to było śmieszne. Nigdzie do tego stopnia, że przecież musiał wyjechać z Warszawy i grać, gdzie on tam grał? Już nie pamiętam, gdzie on tam grał. W każdym razie bez przerwy się walczyło o to miejsce dla niego. Ja nawet byłam u Prezydenta Dudy w takim ciecie, które o różnych rzeczach decydowało. Nawet mnie tam zaprosili, zwariowali chyba, ale już nie jestem. Wspaniali

ludzie tam byli i ciągle tam mówiłam o Pietrzaku. Bo to jest coś takiego, co mnie wkurza niesamowicie, że są ludzie, którym jest tak trudno w ogóle coś osiągnąć, jakby to powiedzieć, przebić się przez. I do nich należy Pietrzak moim zdaniem. Że zawsze... Dlaczego on na przykład nie ma „Krzyża”? No nie ma. Dlaczego? Zalety jego są po prostu niewiarygodne. I potrzebny jest tak niezwykle. Można się nim nudzić, załóżmy, przecież jest bardzo już dojrzałym człowiekiem, ale nie jest doceniony. Ja walczyłam właśnie u [Prezydenta] Dudy tam z panią Romaszewską, z różnymi tam fantastycznymi zupełnie ludźmi byłam. I wiecznie walczyłam o Pietrzaka. Jeszcze też, zaraz, o, jest, to też miałam przygodę. Jakiś facet, do którego podeszłam o Pietrzaka, żeby zapytać, to powiedział, że ja jestem dobrem narodowym, że już do widzenia. Ale to znana osoba, ja tak przebiłam się i chciałam. Tak mnie to wkurzało, że jakże to można? Oczywiście ja wiem, że odznaczenia są bardzo poważne i nie daje się ich byle komu. Ale Pietrzak to nie jest byle kto. Ja mam do niego taką straszną wdzięczność za to życie podwójne, jakby to powiedzieć, które z nim przeżyłam. Bardzo to jako obywatela mnie kształtowało, to, co on robił. Rodzinę znam, wszystko to tam oczywiście. Wszystko cudowne dla dzieci. Poświęcenie też bajeczne zupełnie. Kasia, to bardzo to jest... Zresztą powiem Panu, że kiedyś przyszedł nas powitać na Ursynowie, bo tam się wprowadziliśmy, przyniósł jakąś taką wazę, która potem pękła na sto kawałków, nie wiem dlaczego. Taką wazę w prezencie, wyszedł na balkon w tym Nutki 1 i powiedział: „O Jezus Maria”. Tak go przeraziło i on mieszka rzeczywiście willowo. Ja taka zadowolona, że jestem na tym Ursynowie, bardzo to lubiłam i tę Kopę Cwilą, że tak nierówno, że tak starają się tam, przecież to jest taka historia z tym Ursynowem, że to wspaniali architekci chcieli to zrobić, projektować. Za dużo im nie pozwolili, ale tę różność rzeźby terenu to im się zawdzięcza. Ja tylko słyszałam taką anegdotę, że wspaniali architekci to mieli robić. I im to nie dało rady. I se z Polski wyjechali. Nie wiem, czy to prawda.

Artur Kłus: A jakoś w pamięci Pani jakieś zdarzenie wspomina, jeżeli chodzi o taką już przemianę tej rzeczywistości, wybory w 1989 roku, III Rzeczpospolita, coś tutaj, to przejście z PRL-u z tamtego okresu w jakiś sposób, jakieś zdarzenie Pani zapadło w pamięci, ten 1989 rok?

Ewa Dałkowska: Nic Panu nie powiem. Pamiętam, były takie obywatelskie komitety, prawda, przy wyborach. To ja byłam w takim Komitecie. Łomnicki nie mógł się nadziwić, co oni chcą od tych komitetów, ale potem wycofał się z partii łomnicki. Jeszcze do nas, tak, ja miałam z nim trochę do czynienia, z łomnickim. Ale nie jest to osoba, z którą powinno się opowiadać o tym, jakie mamy prawo do przyszłości. Mamy taką dobrą fotografię, gdzie widać mamę. To zdjęcie jest, jak mama ile miała lat?

Ewa Dałkowska: Nie wiem. Dziewięćdziesiąt parę.

Artur Kłus: Po 90.

Ewa Dałkowska: Po 90, zdrowo. Zdrowo, tak, po 90. Tak sobie do niej mogę wracać dzięki temu.

Artur Kłus: Jeszcze chciałbym na koniec nawiązać, tą klamrą, bo od tego właściwie też troszkę zaczęliśmy, o tym artystycznym życiu. Niedawno jeszcze Pani obchodziła 50-lecie pracy artystycznej. I to wiemy, Pani też tam wspominała, że to jest tylko pewien etap, bo ta praca trwa

w Nowym Teatrze. Jakby Pani też powiedziała, bo mówiliśmy głównie o teatrze i o tych osobach. Pani bliska znajomość z Zygmunt Hübnerem. Coś jeszcze o nim można opowiedzieć, jak Pani go zapamiętała w tej pracy artystycznej i właściwie też z osobistego doświadczenia?

Ewa Dałkowska: Przede wszystkim my mamy taki hübnerowski, jak to powiedzieć, takie jury, które przyznaje nagrody ludziom, którzy pracują podobnie do Hübnera, w stylu, w smaku Hübnera. To ja jestem w takiej kapitule. I bez przerwy analizujemy rozmaitych reżyserów młodych. Są zgłaszani, żeby móc taką linię hübnerowską pociągnąć. Janek Buchwald jest szefem tego. Tam się naradzamy nad tym, co różni dyrektorzy teatrów, reżyserzy i tak dalej kombinują zgodnego z tym. To jest szacunek dla Hübnera wyrażony w ten sposób. A przygody z nim, było tysiąc przygód. Co tam dużo gadać. Takie śmieszne, bo tak mówi. Miałam grać w „Czarownice z Salem” w telewizji, bardzo dużo w telewizji on robił wtedy przedstawień. I mi mówi nagle: „Dlaczego ty się nie buntujesz w ogóle?”. To sobie przypomniałam niedawno, że trzeba stawiać opór. Wtedy zrozumiałam, bo ja z dobrego domu, na przykład wchodzę z Mirą do teatru, przepuszczam ją, a ona mówi: „Przestań! To dobre wychowanie zostaw sobie w domu”. No to takie miałam tam anegdotki z hübnerowskich historii. Mało tam grałam, ciągle chciałam odchodzić. Na przykład poszłam, bo wydawała się mało wyczerpująco zajmowana, tylu wspaniałych osób tam było, że ja się musiałam szczytać, że one istnieją, ci aktorzy. Ale ciągle chciałam odchodzić, to poszłam do Warmińskiego, żeby mnie zaangażował, bo ja się martwię, że tu nie mam nic do roboty. A Warmiński mówi tak: „Obaj umówiliśmy się z Hübnerem, że nie będziemy sobie podbierać aktorów”. No i nie podebrał mnie. [śmiech] Tak że nie no, to po prostu rzeczy, rzeczy tysiące, ale ja już teraz nie, nic sobie nie zbiorę.

Artur Kłus: Grała Pani jeszcze i u Zapasiewicza, i u Wajdy. I współpracowała Pani z Aleksandrem Bardinim. Czy w tej współpracy, czy u tych reżyserów coś Pani tak zapadło w pamięć?

Ewa Dałkowska: Z Bardinim to o tyle, że myśmy mieli zakaz grania w filmach w czasie studiów. Czwarty rok i nagle, otóż proponują mi młodzi debiutanci, właśnie tacy, którzy się stali, za późno startowali z powodu tego bojkotu. Jeden chce, żebym z Hübnerem grała film, filmik taki szkolny. Drugi chce, żebym z Bardinim grała, „Stroiciel fortepianów”. No i co? Oni mi kazali grać. Zresztą profesor Korzeniewski też powiedział, że mogę grać. Tym młodym studentom, bo to był rzeczywiście, wszystko było problemem, co jest zdradą, a co nie. No i zagrałam. Chociaż nie wolno było studentom na czwartym roku grać. To taka akurat była przygoda z tymi facetami.

Artur Kłus: Bo do filmu Pani też przecież w końcu trafiła.

Ewa Dałkowska: W końcu, od razu trafiłam właściwie, szczerze mówiąc. Był taki czas fajny, że były osoby, może teraz też są, znające się na młodych ludziach, których można angażować do dużych filmów robionych w Polsce. No i taka właśnie mnie wypatrzyła jeszcze na Śląsku, jeszcze w Katowicach. No i zagrałam strasznie dużo filmów, ale czy ja powiem, od którego zaczęłam?

Artur Kłus: „Noce i dnie”?

Ewa Dałkowska: Tak, „Noce i dnie”. Najpierw zaczęło się od „Nocy i dni” oczywiście. Fenomenalny film. Uważam,

że mamy skarb taki, jak czasem oglądam ten film, że mamy skarb taki po prostu, że nie ma drugiego takiego. Tak uważam, że Jerzy Antczak zrobił ten film. A robił to z moim mężem, który był kierownikiem produkcji, tam się poznaliśmy. „Noce i dnie”, potem co ja grałam?

Artur Kłus: „Aktorki prowincjonalne”. Czy coś było jeszcze wcześniej?

Ewa Dałkowska: Co prowincjonalne?

Artur Kłus: „Aktorki prowincjonalne”.

Ewa Dałkowska: Tak, ale to już nie pamiętam nic. Natomiast później duże filmy fabularne grałam. Gorgonową, „Szpital Przemienienia”, fantastyczny zupełnie film, który pamiętam bardzo dobrze. „Rok spokojnego słońca”. O Jezus, jeszcze i jeszcze. 50 tych filmów rozmaitych zagrałam. No i co z tego, skoro taki film jeden, w którym zagrałam, głupi taki, wesoły, to on jest ciągle pokazywany, ale nie pamiętam w tej chwili, jak się nazywa. Nie, to nie mówmy tego.

Artur Kłus: „Teściowie”?

Ewa Dałkowska: Nie, nie, „Teściowie” to właśnie się udał. Nie, Załuskiego, nie wiem, zaraz sobie przypomnę. Bez przerwy taki film pokazują, a to nie jest istotna uwaga. Nie. W każdym razie dużo tych filmów się zagrało. Tak się udało. Tak jakby rzucili się na mnie troszeczkę.

Artur Kłus: Ale czuje się Pani głównie aktorką teatralną i to teatr chciałaby Pani, żeby był cały czas na pierwszym miejscu?

Ewa Dałkowska: Ważny jest teatr.

Artur Kłus: W Pani tej artystycznej działalności?

Ewa Dałkowska: Ważny jest teatr, pod warunkiem, że nie mówi na przykład, że mam zagrać coś na początku i na końcu czterogodzinnego spektaklu, bo też mi takie się zdarzały sprawy. I to wtedy, uważam, to nie jest misja wystarczająca. Najtrudniejsze jest, jak mówiłam, estrada, kabaret. To są rzeczy najtrudniejsze dla aktora. Żeby pan widział, jak stoją te aktorki na przykład, żeby wyjść na estradzie do występu. Ma trzy minuty, prawda? Stoi fenomenalna jakaś aktorka, Krafftówna czy tam nie wiem co. Ja na przykład sobie z nimi gadam, bo jeszcze nie wiem, okazuje się, że one są tak tak skupione na tym wyjściu, że w ogóle nie słyszą, co ja do nich mówię. Bo one muszą petardą być taką, na scenie się zjawić, siłą mieć, bo to bardzo łatwo się rozlecieć. Więc to są ciekawe zagadnienia. Lubię śpiewać, ale nie wszyscy lubią, żebym śpiewała. Dosyć dużo śpiewałam i tak dalej, bardzo, bardzo lubię. Wydaje mi się, że można zrobić wtedy coś samemu wreszcie, bo tak to jesteśmy na wydaniu. Panny na wydaniu. A tam można samemu sobie ułożyć piosenki, samemu ułożyć narrację i wiedzieć, o czym się chce taki recital zrobić. Mam o dziwo muzyków, którzy są od samego początku ze mną. Bogacki Janusz i reszta, nawet Paweł Pańta tam jest. O, ważna uwaga. I mogę ich

poprosić, żeby ze mną śpiewali, ale jakoś coś nie tego, jakoś ostatnio nie śpiewaliśmy, chociaż już ze dwie piosenki upatrzyłam sobie, które wprowadzę tam, żeby to wszystko miało taki sens współczesny. Lubię, wszystko lubię, radio lubię, bardzo lubię radio. No, co ja jeszcze mogę lubić? No teatr, no radio. Aha, i jeszcze ja robię tak. Jak widzę, że się ktoś staje niewidoczny z artystów. Teraz tak myślę o Mikołajskiej. Przedtem Iłłakowiczównę, „Ścieżka obok drogi”, czyli o Piłsudskim jej opowieść, Iłłakowiczówna. Genialnie pisze, w ogóle jest po prostu fenomenalna i ten Piłsudski. Robię sobie, za przeproszeniem, cięcia, robię sobie takie czytanie, jakiś facet mi gra na pianinie lub obojętnie, zależy, co tam się do tego dołoży, robi takie godzinne coś, co się nadaje do bibliotek. A w bibliotekach jest taka zaleta, że są ludzie, którzy umieją słuchać. Tak to się bierze po prostu, dlatego są w bibliotekach. Tak że ja mam obowiązek moralny, jak widzę, że ktoś zaczyna ginąć nam z naszej uwagi, jakże rozproszonej, to ja właśnie to staram się zrobić. Teraz myślę o Mikołajskiej, ale nie wiem, czy to mi się coś uda zrobić, bo taka niejasna jest ta sytuacja, prawda, niewiele się wie o Halinie Mikołajskiej.

Artur Kłus: A w latach 70., 80. to była pierwsza...

Ewa Dałkowska: Ja ją znałam. Ja do niej chodziłam, byłam zapraszana na te wieczorki. Zналиśmy Brandysa. No w ogóle naprawdę te czasy też mi się tak wydają warte przypomnienia. Ona napisała dziennik, on napisał wspaniale o niej, Brandys, w swoim dzienniku, ale co więcej.

Artur Kłus: Halina Mikołajska to jest też legenda pod względem działalności opozycyjnej.

Ewa Dałkowska: Właśnie, bo to jest tak, grała w „Wyzwoleniu” jakiegoś tam kogoś, w „Wyzwoleniu” grała i publiczność na jej widok w Teatrze Polskim wstawiała i biła brawo, przerywając jej granie. Ona się z tego wycofała, bo pewnie już nie mogła tego wytrzymać, przecież granie to jest granie. Tak ją wielbili, krótko powiedziawszy. Tak że niezwykła zupełnie osoba, osobowość i tak dalej. Całą karę, jaką poniosła, to w telewizji nie wolno jej grać, to tego, to tamto, to wszystko. W sumie jeżeli chodzi o KOR, to też by trzeba było pogrzebać, co było słuszne, co było racją, co było nie racją, prawda? Ale to wyrzucanie z pamięci jest takie bardzo, prawda, naszą cechą wspólną.

Artur Kłus: Pani Ewo, ten Teatr Domowy, kończąc klamrą, z tej perspektywy 40 lat właściwie, jak na tamto zdarzenie Pani dzisiaj patrzy? Co to Pani dało na dalszą drogę artystyczną? Czy to można jakoś porównać w ogóle z tym, co się dzieje dzisiaj w teatrze, a ten Teatr Domowy? Jak na ten Teatr Domowy dzisiaj Pani patrzy?

Ewa Dałkowska: Jak ja sobie patrzę na tych, co występują na ulicy, założmy, i tak dalej, to zawsze zazdroszczę, bo jestem ciekawa nowego sposobu przekazu. Co komu tam przychodzi do głowy, co trzeba ludziom podać, co dać ludziom i tak dalej. To był też przecież zupełnie inny rodzaj przekazu, szczerze powiedziawszy, ten Teatr Domowy. Nie kojarzył się z teatrem jako takim. Szukało się innego sposobu wyrażania, krótko mówiąc. To mi dał i tyle właściwie można powiedzieć.

Artur Kłus: A jakby Pani nam pokazała przed kamerą to jedno zdjęcie, powiedziała, kto na tym zdjęciu właśnie jest.

Ewa Dałkowska: Cudem ocalone zdjęcie. Ale nie tylko cudem ocalone, ale również jedyne zdjęcie, jakie zostało zrobione naszej ekipie Teatru Domowego. Wyjeżdżając, stanęliśmy pod fikusem, który tu zresztą stoi na Ursynowie, i zrobiliśmy sobie zdjęcie. Są to Emilian Kamiński w środku, tu z boku jest Andrzej Piszczatowski, menago nasz i aktor wspaniały. I różne rzeczy wspaniałe, radiowiec. Maciej Szary. Tych trzech panów i pani Dałkowska, może nie jestem podobna, bo to było dawno temu, pojechali zaraz występować gdzieś potajemnie, przekradając się, gdzieś tam wjeżdżając, przyjmując publiczność i próbując ich przekonać, że to wszystko jest prawda.

Artur Kłus: Pani Ewo, ostatnie moje pytanie jest takie. Czy według Pani ważne jest to, żeby właśnie zachowywać taką historię mówioną, takie wspomnienia z tych czasów właściwie odległych? Czy to jest potrzebne według Pani?

Ewa Dałkowska: Tak, powiem Panu, że ja teraz czytam trochę Montaigne'a. I wiem, że jest ważne. [śmiech] Również przeczytałam o Montaigne'u, że nie miał pamięci. [śmiech] Co mnie bardzo ucieszyło, ale nie wiem, czy to rozumieć tak jak ja, że nie mam pamięci. Bardzo to jest ważne, bardzo ważne. Mówię, że przecież robię rzeczy, jeżeli wydaje mi się, że ktoś bardzo wartościowy znika, to mam przypały taki, żeby się tym, jakby to powiedzieć, zająć. Ja jestem filolog polski, prawda? Nie jestem aktor żaden, tylko filolog polski, więc pewnie mam taką [śmiech] naukową chęć. No i już.

Artur Kłus: Bardzo dziękujemy, przepraszamy za wszystkie niedogodności.

Ewa Dałkowska: To ja przepraszam z góry.